



Autor: JACEK L. KOMUDA  
Tytuł: wampiry z Odrzykońskiej

Z "NF" 12/99

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,  
Co idzie w przepaść z burzą? - czy zostanie  
Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament,  
Wiekuistego zwycięstwa zaranie...

CYPRIAN KAMIL NORWID - "ZA KULISAMI"

SLD = KGB

Dopisek na plakacie  
z wyborów samorządowych  
- październik 1998

Denaturat przesączył się już przez chleb. Spłynął cały do butelki, tracąc nieco koloru; ale nic z ostrego aromatu, a zwłaszcza - mocy. Seta odcharchnął w bok, nalał do brudnej szklanki, a garbaty Konus szybko wyciągnął koślawe paluchy w stronę naczynia. Wielki, łysy Głaca uderzył go po rękę i spojrzał gniewnie spod przymrużonych, bezzęskich powiek.

- Nie dygaj, małolat - warknął. - Jak będziesz miał odgibane tyle lat, co ja, to się pierwszy napijesz. Jakbyś tak pod celą zrobił, wydziabali ci jagodziankę dechą z koja na sty.

- Przecie ja nie cwel.

- Bo to raz przecweliłem człowieka? U nas na Rawiczu posyłali w dół za mniejsze rzeczy. Za to podnieść go po czymś takim nie sposób.

Głaca sięgnął po szklankę. Zrogowaciała skóra pod jego paznokciami pobłkitniała, podobnie jak białka wytrzeszczonych oczu. Pewnie od denaturatu. Seta miał nadzieję, że Głaca kiedyś przekreśli się przez picie pisco. Czasami sam miewał to całe, jak to mówiono na zajęciach... delirium tremens... Wtedy trząsał się i nie poznawał nawet takiego starego wafła jak Seta. Ale ostatnio złopali denaturat bez przerwy. Kartki na wódkę dawno się skończyły. Nawet te fałszywe, skombinowane na mecie u Grubej Berty.

Głaca upił nieco denaturatu. Zaznaczył paznokciem po szkle i podał Secie, a ten, po kilku łykach - Konusowi. Pili po równo, sprawiedliwie, bez zagrychy. Seta nie musiał więc zbyt długo czekać, żeby poczuć ożywczą siłę trunku. Już po trzeciej kolejce świat poweselał.

Brudne, ceglane ściany Warszawskiej Kostnicy Dzielnicowej przy Odrzykońskiej 2, powszechnie zwanej trupiarnią, nabrały kolorów. Światło słabej, dwudziestopięciowatowej żarówki osłoniętej drucianą siatką zalśniło tęczowym blaskiem. Seta obejrzał się na uchylone drzwi prowadzące do chłodni. Za ścianą cicho wył stary, zajeżdżony agregat, bulgotała woda w rurach. Ostatnio w chłodniach było bardzo mało pacjentów. Kryzys tak dobrał się ludziom do skóry, że nie mieli siły umierać.

- Kurwa, nawet w chłodni nie trzymamy żadnej laski - powiedział Konus. - Coś ostatnio nie ma nic do ruchania. A kurwy u nas na Brzeskiej złapały ruską odmianę syfa. Można je odpytywać tylko z ustnego...

- Tobie, Konus, i szuflada wystarczy - wycharczał Glaca. - Przecież kutasa masz małego. A na piczkę mówisz: "proszę pani".

- Spoko, większego od tego - Konus sięgnął gdzieś pod stół, a potem szybko wydobył i rzucił na blat duży członek, pokryty zaschłą krwią. Seta nawet nie drgnął. Znał głupie maniery Konusa, zresztą sam, nudząc się po nocach, nie raz wyciągał flaki z brzucha trupów źle zaszytych po sekcji.

- To z szóstej chłodni - mruknął Seta. - Od jednego bejcy, co wpadł pod beteera na moście Poniatowskiego. Urżnął się jak szpadel i padł na środku jezdni. Widać go było z daleka, ale że to jechali ruscy, nie nasi, to przejechały się po nim trzy wozy. Łopatomy go do worka zbierali.

- Ale chuja miał niezłego - rzekł Glaca, oglądając członka. - Leć Konus po igły i nitki. Przyszyjemy ci raz dwa. Żadna ci nie odmówi.

Z ulicy doszedł chrzęst podkutych, żołnierskich butów. Zbliżał się szybko; wkrótce rozbrzmiał głośno, a potem zaczął cichnąć. Było już dawno po godzinie milicyjnej, patrole krążyły gęsto po całej Warszawie. Niespodziewanie usłyszeli stłumione odgłosy wystrzałów. Daleko, gdzieś za placem Narutowicza, koło Filtrów, a może w pobliżu starego akademika.

- Strzelają, kurwa mać - mruknął Konus. - Wiecie, słyszałem, że dzisiaj były wiece i demonstracje przy Uniwersytecie. To dlatego psy i ruskie kręcą się po mieście jak wściekłe. Kurwa, znowu zomowcy ludzi rozpierniczą.

- Koło uniwersytetu? Te, Seta, magister, to twoje strony. Tyś tam kiedyś gibał, nie?

- Dawno temu. Wypierdolili mnie jeszcze w osiemdziesiątym dziewiątym.

- Chuj w dupę studenciakom - zawyrokował Glaca. - Na cholere te demonstracje. Znowu, kurwa, nie będzie wódki.

Seta rozparł się wygodniej na krześle. Denaturat już działał czuł szybki zawrót głowy.

- Chodźmy obejrzyć pacjentów. Konus, dawaj kutasa!

Mały garbus nie protestował, Seta z członkiem truposza w wyciągniętej ręce chwiejnym krokiem ruszył do sąsiedniego pomieszczenia. Było tu zimniej niż w dyżurce. W metalowej ścianie po lewej widniały całe szeregi małych drzwiczek do chłodni, w których spoczywały martwe ciała.

- Żadnej laski - zamamrotał Glaca. - A wszystkie... prawie prycze zajęte.

Na zewnątrz na ulicy Słupeckiej rozległ się warkot motoru. Coś ciężkiego, chyba ciężarówka, podjechało pod główne drzwi kostnicy. Seta usłyszał głośny łomot otwieranej kłapy, stukot podkutych butów, gniewne głosy. Potem w drzwi posypały się uderzenia. Głośno, przenikliwie zabrzczał dzwonek.

- O cholera - rzucił Seta przez zaciśnięte zęby. Błyskawicznie wsunął mary do chłodni i zatrzasnął kłapę. Potem wbiegł po pochylni na górę. Przebiegł przez pokój przyjęć, wpadł do korytarzyka prowadzącego do głównych drzwi wejściowych. Konus pędził za nim. Niecierpliwy dzwonek odezwał się znowu, więc Seta przekręcił zasuwę, odemknął ciężką, żelazną furtę i wyjrzał przez próg. Na ulicy było ciemno, tylko czerwone światelka jarzące się z tyłu paki wydobywały z mroku zarys wielkiego ciężarowego stara. Plandeka była podwinięta, dokoła stało kilku żołnierzy... I jeszcze oficer, i jakiś mężczyzna ubrany po cywilnemu. Seta nie widział twarzy. Zresztą padało, tamten miał kapelusz nasunięty na oczy i postawiony kołnierz płaszcza. W słabym świetle latarki trzymanej przez jednego z żołnierzy cywil błysnął blachą legitymacji.

- Służba Bezpieczeństwa. Osiem ciał do kremacji.

Seta spojrział oszołomiony. Ubek, znaczy się, dlatego w cywilu.

- A zaświadczenie od lekarza jest? - zapytał odruchowo. - I zgoda rodziny...

- Jakiego lekarza, idioto - przerwał cywil. - Masz tu rozkaz od pułkownika Bednarskiego. - Tu, kurwa, debil, czytaj - promień latarki padł na biały dokument. Do Sety nie bardzo to wszystko docierało.

- Ruszaj, się, człowieku - rzucił wściekle cywil. - Nie ma czasu!

Żołnierze mocniej odchyliłi plandekę. W żółtym świetle latarek zabłyśły duże worki z czarnej folii. Dwaj zomowcy chwycili pierwszy z brzegu, zrzucili z chrzęstem na ziemię.

- Dawajcie wózek, do cholery!

Głaca przypadł z tyłu, przyciągnął dwa skrzypiące wózki. Szybko wzięli pierwsze dwa worki, ciężkie, zimne jak lód, wilgotne od marcowego deszczu. Położyli je na wózki, zaczęli pchać. Żołnierze z tyłu nieśli następne.

- Wszystko do kremacji. Do rana ma tych ciał nie być - zakomenderował cywil, gdy znaleźli się w chłodni. - I żadnych sztuczek, bo będą kłopoty. No, tu podpiszcie - podsunął Secie świstek papieru, będący w istocie protokołem przyjęcia zwłok. Seta odnalazł odpowiednią rubrykę, z trudem nagryzmolił podpis.

- A co to za trupy? - nie wytrzymał Konus.

- Wypadek na Starym Mieście - mruknął ubek. - Zresztą gównu was to obchodzi.

Wyrwał papier z ręki Sety. Zomowcy posłusznie za nim ruszyli do drzwi. Seta usłyszał stukot podkutych butów na schodach, potem trzaśnięcie drzwi na górze i zapanowała cisza. Zostali sami z trupami. Popatrzyli na siebie zdumieni. Seta spojrział na worki złożone pod ścianą. Leżały cicho, otulając zmarłych jak czarne kokony. Że też różnych rzeczy brakowało w tym kraju, ale nigdy plastyku na trupy.

Wstrząsnął nim dreszcz. Ciała leżały tak cicho, tak spokojnie. Ostrożnie rozsznurował pierwszy worek, rozchylił szeleszczącą folię. W środku był młody, może dwudziestoletni chłopak, miał przymknięte oczy, wpółotwarte usta, zupełnie jak gdyby lada chwila miał wydobyć się z nich jęk bólu czy może okrzyk rozpacz. Złote druciki okularów połyskiwały słabo, a głowę oplótł drapieżnie czerwony polip krwi, już zakrzepłej, ale wcześniej spływającej z małego otworu po kuli na skroni. Kurwa, pomyślał Seta, Konus mówił, że na Uniwersytecie miały być demonstracje...

- Gówniarze - mruknął Głaca, który zajął tymczasem do innego worka. - Popatrz - mruknął do Konusa - sikor ma ładny. Zajrzyj, czy psy nie obłuskały go ze szmalu.

Seta nie patrzył na tamtych. Szybko i sprawnie zajął się swoim nieboszczykiem. Bez pośpiechu zsunął mu z ręki zegarek, ale nie mógł wymacać portfela. Na szyi zmarłego odkrył mały krzyżyk. Przez chwilę usiłował zdjąć go z trupa, niespodziewanie jednak łańcuszek stawił opór. Seta szarpnął mocniej i ogniówka pękła. Sprawdził na ząb, czy aby nie złoto, skrzywił się, ale wcisnął krzyżyk do kieszeni. Potem przeszedł do następnego ciała leżącego na wózku.

- Trzeba palić, jak kazali - upomniał kolegów zajętych przetrząsaniem kolejnego trupa. Szybko rozwiązał worek, zajął do środka i zamarł. Na wózku leżała kobieta. Złote włosy w nieładzie opadały na jej czoło i policzki, zlepione od wilgoci, jakby przedśmiertnego potu. Złote włosy. Obejrzał się na garbatego Konusa i Głacę. Porozumieli się wzrokiem.

- To ja zaraz... - nie skończył. Popchnął wózek za drzwi. Tamci uśmiechnęli się wyrozumiale. Mylili się, bo Seta wcale nie lubił takich rzeczy... Tym bardziej nie teraz, kiedy był tak wzburzony. Może dlatego, że pamiętał jeszcze swoje dawniejsze życie, życie bez delirek, bez denaturatu, włamów i kaca.

Wjechał do wąskiego korytarzyka obok sali sekcyjnej. Tutaj był piec, nosze i turbina. Szybko przysunął wózek do otwartych drzwiczek. Potem rozsunął folię. Spojrział na leżącą

na wózku dziewczynę. Była piękna, była cudowna jak anioł... Seta poczuł dziwny chłód. Jakby wynurzył się na powierzchnię z gorącego morza gówna, szczyn i odpadków... Jak gdyby patrzył na anioła poprzez ruszta diabelskiego pieca. On nie chciał nic jej robić, chciał tylko popatrzeć... Dawno nie widział takiej laski. Była inna niż zniszczone, wiecznie pijane kurwy z Brzeskiej, z którymi pieprzył się na melinach. Seta dawno już nie widział takiej kobiety... I dlatego wpatrywał się w nią jak urzeczony...

Dostrzegł na jej boku plamę krwi. Nie musiał już zaglądać pod bluzkę, zginęła od kuli. Od kuli z milicyjnej albo ruskiej broni. Seta nie był głupi. Domyślał się, że przywieźli te ciała do kostnicy, żeby pozbyć się zwłok, pozbyć się dowodów. Co mógł robić. Co robić? Do diabła, to był mord, a Seta zawsze brzydził się mokrą robotą.

Cofnął się do sąsiedniego pomieszczenia. Glacy i Konusa tu nie było. Pewnie poszli rozpalać piec. Wskoczył do sąsiedniej salki. To był pokój sekcyjny. Szybko znalazł aparat - starego zenita, trzęsącymi się dłońmi wepchnął doń film, poganiając się w myślach.

Zbliżył się do trupów. Rozsunął pierwszy worek. Błysk flesza wydobył z mroku oblicze jasnowłosego mężczyzny z dziurą po kuli na skroni. Seta rozsunął następny worek.

Magnezjowy rozbłysk podkreślił ciemne włosy następnego trupa, krew na piersi załśniła czerwono. Seta przeszedł dalej. Szybko jak automat robił zdjęcia, błyskał fleszem raz po raz, aż wreszcie, chyba za trzydziestym razem, usłyszał metaliczny szczęk, a lampa błyskowa nie zajaśniała światłem. Wypstrykał całą rolkę. Ostrożnie zasnurował worki, wyjął błonę z aparatu, odniósł zenita na miejsce. Film niemal sparzył go w dłoń, gdy wsuwał rolkę do kieszeni. To było wszystko, co mógł zrobić. Teraz pozostawało tylko wykonać to, co kazali ubecy. Spalić ciała!

Wrócił z powrotem do korytarzyka. Szybko popchnął wózek z ciałem dziewczyny w stronę pieca. Nagle zamarł; zdało mu się, że coś usłyszał. Kobieta poruszyła się lekko. Z jej posiniątych ust dobył się cichy jęk. Kurwa, pomyślał spłoszony jak ptak, ona żyje... Żyje... - Gdzie jesteśmy - na poły wyszeptała, na poły wyjęczała, otwierając zamglone powieki. - Jurek, gdzie jesteś...

- Co ty, co ty? - zapytał zupełnie zbity z tropu. Wąska, rubinowa struga krwi wypływająca z jej ust przecięła podbródek na pół.

- Kto ty jesteś... Gdzie ja jestem? - wyszeptała półprzytomnie. Seta rozejrzał się w panice. Ten ubek mógł przecież wrócić...

- Dobra, jest git.

Spojrzała przytomniej, podniosła lewą rękę, sięgnęła do boku, dotknęła zakrzepłej krwi.

- Pomóż mi, pomóż - plama na bluzce robiła się większa - ja muszę coś... przekazać.

Cofnął się jeszcze bardziej

- Ja żyję... żyję... - wyszeptała. - Boli, jak strasznie boli... Strzela... li do mnie... do nas... A Jurek, gdzie on jest?! No gdzie... - szarpnęła się.

- Leż grzecznie, lalczko. Pies cię jebał, żeś wstała. Ale i tak trafisz do pieca. Pan kapitan kazał.

- Ja muszę żyć - wyszeptała. - Proszę, pomóż mi. Dla dobra Armii Wyzwolenia... Musisz przekazać, że padła technika na Białolece...

- Jeszcze czego...

- ...Że wpadła technika Marcina - wyszeptała błagalnie. - Proszę... To - zakrzuszyła się krwią spływającą z ust. - W Aninie, Zielna 7... proszę. - Rubinowy strumyczek przybrał na sile.

- Tylko bez takich. Pół roku temu wyszedłem z pudła.

- Musisz mi pomóc - wyszeptała. - Proszę...

Na górze trzasnęły drzwi. Seta usłyszał głosy. Potem na schodach zadudniły podkute buty żołnierzy... A więc ubecy wrócili. Jak błyskawica przyskoczył do dziewczyny, pchnął ją na wózek, brutalnie wcisnął głowę do worka, zawiązał sznurek. Dziewczyna jęknęła tylko cicho, potem chyba zemdląła, bo nie rzucała się wcale. Seta usłyszał, że za ścianą wybuchła sprzeczka. Usłyszał piskliwy głos Konusa, potem odgłosy uderzeń i zbliżające się kroki. Szli tutaj - był tego pewien. Rozejrzał się jak szczur w pułapce i skoczył w małe drzwiczki prowadzące do magazynu z wózkami. Było tu zupełnie ciemno. Ale gdy stanął obok szafy z narzędziami, mógł wyraźnie słyszeć wszystko, co było powiedziane tuż przed piecami krematorium.

Usłyszał zbliżające się kroki, rozmowę. W słabo oświetlonym korytarzu pojawiło się dwóch cywilów. Jednego z nich poznał po lekko chropawym głosie. To musiał być ten sam ubek, który przywiózł tu trupy. Teraz kłócił się z drugim, pewnie zwierzchnikiem.

- Kurwa, Micewicz, spierdoliłeś wszystko. Nie mogłeś przeszukać jej wcześniej?!

- Przecie i tak robota była czysta. Nikt nic nie wie, panie kapitanie. Zebraliśmy trupy zaraz po akcji. A o tej zapomnieliśmy.

- Wmieszali się w demonstrację. Niektórzy to nie z tych studenciaków. Pierdolone gnoje. Państwo płaci za naukę, a oni podnoszą łapy przeciwko władzy. Mówię wam, Micewicz, dorwiemy kiedyś prowodyrów, to będzie spokój.

Skulony pod wózkiem Seta usłyszał szelest folii. W korytarzu zajaśniał ogień zapalanej zapałki, potem czerwono odznaczyła się końcówka zapalonego papierosa. Ubecy odsunęły folię. Seta usłyszał cichy jęk, potem stukot. Pierwszy z cywilów zagwizdał przeciągle. Drugi odskoczył.

- No proszę, jeszcze żyjemy! - mruknął pierwszy. Ranna znów jęknęła.

- Niech ja dorwę konowała, co stwierdził jej zgon. Ty, mała, słyszysz nas?

Nawet Seta, skulony w niewygodnej pozycji pod wózkiem, usłyszał zdławiony jęk. A potem suchy trzask, oznaczający chyba, że ubek uderzał dziewczynę w policzek.

- Oprzytomnieliśmy. No proszę. I co, warto bawić się w konspirację, laleczko?! No, bądź grzeczna!

- O Boże - jęknęła dziewczyna. - O Boże, jak boli... Czego wy chcecie...

- Dobrze wiesz czego - znów rozległ się cyniczny głos wyższego z cywili. - Adresu grupy w Aninie. No, do diabła, dość tego - Seta usłyszał teraz odgłos uderzenia, głuchy jęk, a potem płacz dziewczyny. Kurwa - pomyślał - co oni jej robią?

- Sławek, przeszukaj ją dobrze. Co, cholera, nic nie ma!? Jak to nic!? - wrzasnął ubek. No proszę, mała konspiracja. To będziesz musiała gadać.

Seta, skulony pod wózkiem, zaczął powoli pełznąć w tył. Tam, w korytarzyku usłyszał jakąś szamotaninę. A potem... potem stłumiony trzask. Kątem oka dostrzegł czerwony błysk... Czyżby wystrzału? Zamarł. Czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy. Szybko wpęzł do sąsiedniego pomieszczenia. Potem prześliznął się do tego pokoju, w którym złożono trupy... Stanął pod ścianą, drżącymi rękoma wyciągnął paczkę klubowych.

- Ty, do ciebie mówię!

Z wrażenia wypuścił papierosa. Cywil; ten wyższy wyszedł z korytarzyka prowadzącego do paleniska. Jego oczy błyszczały nerwowo.

- Chodź tutaj! - wskazał drzwi.

Seta posłusznie postąpił we wskazanym kierunku. Znów był w korytarzyku, w którym tamci przeszukiwali ranną. Teraz panował tu spokój. Drugi ubek palił papierosa. Żarzący się ogień oświetlał jego pobladałą, jakby wystraszoną twarz. A dziewczyna... wzrok Sety mimowolnie powędrował w kierunku wózka. Nie poruszała się już. Folia była rozpięta.

Seta dostrzegł włosy studentki, włosy powalane krwią. Wcześniej tej krwi nie było... Kurwa mać - powiedział bezgłośnie sam do siebie. Boże... Rozwalili ją. Ale za co, do diabła, za co... Ja widziałem... Zaraz rozwalą i mnie...

- Spal zwłoki! - zakomenderował cywil. - Natychmiast!

Seta bez słowa popchnął wózek w stronę pieca. Otworzył drzwi do drugiej sekcji. Najpierw wcisnął przycisk rozrusznika. Agregat ruszył z cichym sykiem. Zaszumiał, zabulgotał. W korytarzyku zrobiło się ciepłej. Seta otworzył drzwiczki. Przepchnął worek z ciałem na nosze, a potem pchnął na ruszt. I właśnie wtedy jego dłoń musnęła kieszeń, w której spoczywał film...

Zdrętwiał, mierzony baczными spojrzeniami ubeków, a potem wepchnął nosze do pieca i przełączył zawór. Gaz wpadł z sykiem do komory, usłyszeli wściekły trzask płomieni, głuchy huk ognia i... było po wszystkim.

- No to w porządku - mruknął wyższy. Zmierzył Setę groźnym spojrzeniem, a potem ruszył w stronę drzwi. Seta wsłuchał się w łoskot płomieni, w poszeptywanie gazu w rurach i wolno spuścił głowę.

Dzienna zmiana, czyli Lobo, Zocha i Marcus przyszli o czasie. Gdy Seta i Konus wyszli z kostnicy, był świt, piąta rano; wstawał kolejny zadymiony, zasnuty chmurami i deszczem, szary dzień Warszawy. Wstawał w łoskocie drzwi otwieranych sklepów, w chrzęście podkutych butów żołnierzy i milicjantów patrolujących ulicę, w poszarzałych twarzach kobiet, wystających w kolejkach od trzeciej w nocy, aby kupić dzieciom bułkę i butelkę kartkowego mleka. Odbijał się w zmęczonych obliczach warszawiaków śpieszących do roboty, tkwił w drażniącym oczu dymie z koksowników, w warkocie motorów ciężkich skotów. Godzina policyjna przeminęła, miasto budziło się do życia, zmęczone, skacowane, zarzygane... Konus i Seta szli wolno do czwórki, na plac Narutowicza, a wokół nich były same odcienie szarości. Szare budynki, szare ulice, szare chodniki, czarny asfalt, czarne, bezlistne, poskręcane drzewa, smutne, zmęczone i złe twarze ludzi o oczach płonących gorączką. A ponad tym wszystkim ołowiane niebo i szary marcowy deszcz omywający mury, ludzi, nieliczne samochody na kartkową benzynę, ściekający strumyczkami po nierównym bruku...

Czwórka miała pętlę na placu Narutowicza. Jeszcze były w niej miejsca. Konus i Seta padli na siedzenia, oparli się o wilgotne szyby, zamglone od ludzkich oddechów. Tłum w pojeździe gęstniał, ludzie pchali się, przepychali, napierali. Nikt nie ustępował miejsca starszym, nikt nie przeproszał, nikt się nie uśmiechał. Boże, który to był już rok stanu wojennego.

Tramwaj ruszył w końcu - opóźniony. Minął ruski posterunek przy wylocie Filtrowej, potoczył się wolno w stronę placu Zawiszy. Przybywało ludzi. Wsiadali na każdym przystanku, wpychali się w drzwi, w miarę jak na ulicach robiło się coraz ludniej. Ci wszyscy ludzie... Seta rzygał nimi, dusił go tysiąc oddechów, dławił napór tłumu, rozwścieczały szare, pobrużdżone twarze. Wciąż czuł na swym obliczu cuchnące oddechy skacowanych, wciąż widział napierające ciała, oczy patrzące z pożądliwością, czekające na chwilę, gdy zwolni, miejsce i cała tłuszczka będzie mogła rzucić się, by dać ulgę strudżonym nogom. Nienawidził tych wszystkich ludzi wokół siebie, nie tylko w tramwaju, ale i na ulicach. Robole, urzędnicy, nauczyciele, trochę studenciaków, jakieś gnoje, wszystkie twarze zmęczone i złe. Taksówkarze i cinkciarze, ładaczniczki i dziwki, zmęczone robotnice, przypalające nerwowym ruchem ostatniego radomskiego.

Tramwaj wtoczył się w Aleje Jerozolimskie. Z lewej zrobiło się nieco jaśniej, nad wykopem kolejowym wiatr unosił śmieci i stare gazety. Seta wpatrzył się w niebo, spojrzął przez zamgloną szybę w ołowiane, matowe kłęby chmur, zalewające deszczem nieszczęsną Warszawę, miasto betonu i rdzy, gówien i odpadków, rzygowin, kaca i mgły.

Czwórka minęła następny posterunek, tym razem przy placu Starynkiewicza. Dziewięciu sowietów opatulonych po szyję grzało się przy koksowniku ustawionym nieopodal starego T-72. Po drugiej stronie ulicy zagrzewało się w taki sam sposób ośmiu milicjantów.

Tramwaj przebiegał dalej. Na ulicach nie było dużego ruchu. Szybko dojechali do Dworca Centralnego. Ogromna hala była prawie pusta, tylko deszcz zacinął po ścianach, wpadał do środka przez wybite szyby. Po drugiej stronie Alej Jerozolimskich, obok starego, nigdy nie dokończonego terminalu Lotu, hulał wiatr.

Seta przywarł do szyby. Spocony i wymęczony chłonał to wszystko, cały gwar i ruch. Mężczyzna w waciaku przepychał się przez tłum w tramwaju. Wariat, a może jedyny normalny człowiek w tym wszystkim.

- Wszystko przez profesorów! - krzyknął Secie do ucha. - Wszystko przez profesorów. Ale sekretarz wojewódzki nas uratuje. No, powiedzcie sami... Ludzieeeee! - rozdarł się. - Przecież daję mu dupy co noc. Co noc, przysięgam!

Czwórka toczyła się dalej. Za Centralnym ruscy przeprowadzali rewizję w starym fiacie kombi. Mężczyzna - kierowca i kobieta stali z rękami podniesionymi do góry, trzech żołdatów wyrzucało z wozu kartonowe pudła.

Tramwaj toczył się dalej... Skrzyżowanie z Marszałkowską; tu wysiadło sporo osób.

Deszcz ostro zacinął w szyby. Z głębi Marszałkowskiej słychać jakieś krzyki...

...Uśmiechnięta twarz dziewczyny na plakacie. Wola PZPR wolą narodu. Sojusz robotniczo-chłopski...

...Tramwaj wtoczył się na most Poniatowskiego. Tu było groźniej. Przy wieżyczkach na obu końcach mostu ułożono worki z piaskiem, stały na nich karabiny maszynowe, obok transportery; jezdnie przegrodzone były kolczatkami.

- Co ja widziałam, pani Podajowa - gadała bezzębna starucha do sąsiadki - wyrwał się wczoraj matce i poleciał przez most w Łazienkach, bo kaczuszki tam pływały. Ale przyuważyli ruscy - puścili serię. Jezus Maria, ino strzępy z dzieciska.

Tramwaj skręcił w Zieleniecką. A dokoła wciąż trwała Warszawa... Miasto milicyjnych patroli, mundurów, skotów, ruskich z kałaszami, Warszawa ulotek, tajnych drukarni, bibuły, dziwnych ludzi, wódki i przemycanego przez ruskich spirytusu... WRON za Don! Orła wrona nie pokona! Generale - nie boimy się tej wojny wcale... Solidarność walczy!

Tramwaj przejechał pod wiaduktem, skręcił w Kijowską. Seta ocknął się nagle. Byli u celu. Szarpnął za ramię Konusa. Szybko przepchnęli się do wyjścia. Wyszli wprost na deszcz, na słońce i marcowy ziąb. Ale to nic, że lało. Zaledwie kilka kroków i - byli na Brzeskiej. Tu Seta mógł czuć się jak u siebie w domu. Tu była swoboda, można nawet rzec - wolność. Brzeska, Stalowa, Żąbkowska, Białostocka, Markowska... Tutaj był jego świat, jego ojczyzna. Wolny kwartał ulic w środku Warszawy. Tu w wąskich, błotnistych uliczkach pomiędzy starymi, rozpadającymi się kamienicami panowały inne prawa; nikt obcy nie miał tutaj wstępu. Nawet patrole ruskich i ubeków zapuszczały się tu niechętnie. W ostatnich latach, w ciemnych podwórkach, w ponurych bramach przepadał niejeden politruk czy żołdat, a niejeden ruski kałasz trafił stąd do rąk solidarnościowców czy do konspiratorów z Armii Wyzwolenia, zresztą, jak sądzono, ubeckiej prowokacji. Niejeden litr gorzałki czy polec mięsa przemycony ze wsi przez szmuglerów wędrował z Pragi pod lady warszawskich sklepów, w których od lat straszyły puste półki, ocet i sznurowadła.



Tak, tutaj, w stolicy zniewolenia, Brzeska była zawsze oazą spokoju i względnego dostatku. Gdy Seta zanurzał się w ciemne bramy i zaułki tej części Pragi, przestawał czuć na plecach przenikliwe spojrzenia milicji i zomowców...

Secie nie chciało się spać. Zanim zaszyli się w kamienicy, wpadli razem z Konusem do Kolorowej, małej knajpki, a właściwie meliny u grubej Berty, na tyłach bazaru Różyckiego. Tu, w starej odrapanym domu z czerwonej cegły, wszystko pozostało na swoim miejscu. Zadymiona sala, gruba Berta za szynkwasem i - rzecz jasna - morze bimbru.

Zielony, Esy, Kaczor, Gaju i Dominik byli tu już, siedzieli pośród mniej znanej złodziejskiej zgrai. Zaprawiali od dawna, a zwłaszcza gruby Dominik. Seta i Konus dosiedli się do Kaczora. Młody złodziej, znany z tego, że okradał głównie ruskich, kiwał się sennie nad stołem. W szklance miał mętną herbatę, bo oficjalnie nic poza tą lurą nie można było kupić u grubej Berty. Wystarczyło jednak, że Seta uśmiechnął się do właścicielki, a ta podała sporą flachę bimbru. Obciążali ją przy stole, polewali do musztardówek z mankietu, zerkając na sąsiadów, choć i tak w barze byli sami swoi.

- No, jak tam trupy? - wychrypiął Kaczor. - Kurwa, chłopaki, ciągle się dziwię, że nie mogliście znaleźć lepszej roboty...

- Po pierdłu dzielnicowy łąził za mną i łąził, że jak nie zacznę robić, coś na mnie znajdzie - mruknął Seta. - Po tym jak buchnąłem brykę tej dziwce Millerowi, mieli na mnie oko. Za audi sekretarza wojewódzkiego przypierdolili mi dziesiątaka. No, zdrowie! A co u ciebie? Popili bimbru. Był mocny, czuć w nim było drożdże; Bercie nie chciało się destylować samogonu do końca. Kaczor wstrząsnął głową. Seta popatrzył na jego ręce, białe i smukłe, nienawykłe do ciężkiej pracy. Przypomniawszy sobie opowieść starego złodzieja, że bolszewicy na początek rozwalali złodziei razem z burżujami, bo każdy miał dłonie jak elegant...

- Nie farci mi się ostatnio - mruknął Kaczor. - Załapałem tylko ładny sikor od ruskiego oficera. Chyba kradziony w Niemczech. Ale już poszedł u starego Kubasa...

Wypili znowu. Konus odcharknął, spojrzał uważniej na Setę i Kaczora.

- Kurwa, chłopaki, nie wiecie, jaki przedwczoraj miałem sen.

- Sen? Co, gołe kurwy ci się śniły, Konus! Z cyckami do ziemi?

- Nie, chłopaki. Śniła mi się Warszawa... Ale właściwie to nie Warszawa...

- Co ty pierdolisz?

- Szedłem Jerolimskimi, przy Centralnym, a wszystko było inne niż teraz. Wszędzie sklepy, banki, kurwa, komisy i takie te, no... peweksy z wódkami. A samochody jakie... Same zachodnie bryki. A jakie wieżowce! Wyższe niż Pałac Kultury... Takie jak w Ameryce.

- Opowiadasz. Wieżowce w Warszawie?

- A ludzie jacy wystrojeni. I jakie laski mi się śniły - Konus rozpląszczył się na blacie. - Wszyscy uśmiechnięci i jacyś... inni. A w sklepach żadnych kolejek.

- Pierdolisz! Może jeszcze kartek nie było?! - warknął Kaczor.

- A pewnie, dawali, ile kto chciał. Jak wszedłem do sklepu, to kupiłem zaraz pięć kilo zwyczajnej. I dali mi od razu. Kurwa, jakie piwo piłem, prosto z beczki i zimne. A w sklepie wszyscy uprzejmi...

- No chyba żeś się za dużo bimbru ożłopał...

- A potem - Konus spojrzał na brudny sufit - potem śniła mi się Brzeska. I byłem tutaj - u grubej Berty. A tutaj jak czysto, jak schludnie. A gruba Berta uśmiechnięta, wysztafirowana. Aż się lepiała od tapety... A jakie zakąski u niej były...

- Gruba Berta uśmiechnięta? Pierdolisz. To już niemożliwe...

- A na Brzeskiej wyburzali domy. I budowali same takie ze szkła i betonu. I był taki ten, no, jak na filmach sklep z samochodami...

- To pewnie jaki ruski miał przyjechać tak jak, ten Ziuganow, co był u nas w zimę...

- Nie, nie ruski. Ale potem znowu bieda przysła...

- Dlaczego?

- Bo ludzie znowu komunistów wybrali...

- U nas to, kurwa, naród ciemniaków - mruknął Kaczor. - A jak tam u was w trupiarni. Nie było w nocy zamieszania?!

- Nie, a bo stało się co?!

- Chłopaki - Kaczor odsunął się z krzesłem w tył. - To wy naprawdę niczego nie wiecie? Wczoraj były marsze i demonstracje przy uniwersytecie. Podobno ruscy i milicja strzelali do niełatów z uniwerku... Były trupy. Naprawdę nic nie wiecie?

Seta spojrzął na Konusa, a Konus na Setę. Ich oczy spotkały się. Zimny chłód przeszył serce Sety. Fatalny film wciąż tkwił w jego kieszeni. Seta czuł, jak krawędź rolki uwiera go w udo...

- Nie, nic u nas nie było - powiedział. Kaczor skinął w stronę starego rubina na blacie. Telewizor trzeszczał niewyraźnie.

- Mówią o tym.

Seta przechylił się w stronę odbiornika. Szedł poranny dziennik, na brudnym ekranie widział twarz prezentera Tumanowicza, starego, zaufanego towarzysza. Z tyłu, w studiu siedzieli goście, Seta rozpoznał wśród nich Urbana, papugę Jaruzelskiego...

- Wczoraj doszło do kolejnych zamieszek na Uniwersytecie Warszawskim - mówił prezydent poważnym, uniżonym tonem. - Wszyscy wiemy, że po ostatnich nielegalnych demonstracjach cierpliwość władz wyczerpała się i Uniwersytet Warszawski będzie czasowo zamknięty. Nie bacząc na zakaz, studenci prowadzeni przez zbrodniczych prowodyrów i podlegaczy próbowali zorganizować nielegalną manifestację...

Seta przetarł zmęczone oczy, pociągnął łyk bimbrowa.

- Jakiegokolwiek pogłoski o tym, że doszło do użycia broni, są oczywiście bezpodstawne - wyjaśnił prezydent. Kamera pokazała Urbana szczerzącego zęby w bezgłośnym uśmiechu.

- Ach, te demonstracje i strajki... W dzisiejszej chwili jakiegokolwiek żądania, nawet uzasadnione, stanowią podcinanie gałęzi, na której każdy z nas siedzi.

- A jak skomentuje pan pogłoski o użyciu siły przez jednostki prewencyjne Milicji Obywatelskiej?

- Jestem zdania - powiedział Urban - że żyjemy w kraju łagodnych rządów, gdzie represje są raczej dobrotliwe i krótkotrwałe. Panowie, Solidarność, to pojęcie ideowo mi obce, a pod względem programowym jeżące włosy na głowie...

Siedzący w studiu mężczyźni zarzeli z radości. Seta patrzył na to przymglonym wzrokiem. Studenci, trupy... a cóż go to wszystko obchodzi. Cała jebana, popierdolona Polska Ludowa. Jemu było git. Najważniejsze, że nikt się do niego nie przyczepiał. Od czasu do czasu szedł na mały włam albo kosił brykę i miał wszystko - ciuch, szmal, poważanie u dziwek. A ten Uniwersytet, strzelanina. Głupi gówniarze, sami chcieli...

Na ekranie pojawiła się zaafierowana gęba grubawego przystojniaka ze znaczkiem ZSMP w klapie marynarki. Niewyraźny podpis: jakiś ...ksander Bwaśniewski?...

- Jesteśmy krajem cywilizowanym i dokładamy starań aby obywatel miał wpływ na władzę, na jej decyzje, ale nie organizując zadym, protestów, tylko uczestnicząc w życiu publicznym... - recytował przejęty. - I ten drugi świat także znam. To jest świat, w którym

nie ma argumentów, w którym jest tylko siła, w którym jest tylko pięść, w którym jest petarda, w którym jest śruba rzucona w okno i jest słowo, które jest albo wulgarne, albo obrzydliwe.

- Co za cwel - mruknął Seta. Nie słuchał już. Kaczor podniósł się z miejsca i poszedł się odlać do sracza w bramie. Konus szarpnął Setę za rękaw.

- Ty, kurwa, w co myśmy wdepnęli - wyszeptał spanikowany - co za gówno. Rozwałę nas jak nic, przecież paliliśmy ciała.

- Nie dygaj, Konus. Jesteśmy kryci.. Pamiętaj, nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy. Ja ci powiem coś jeszcze. Pamiętasz tę małą, z jasnymi włosami? Ona jeszcze żyła.

- Co? O kurwa!

- Posłuszaj - syknął Seta. - Tylko posłuchaj. To było morderstwo. Ubecy zamordowali studentów, a potem kazali spalić ciała, żeby nie było dowodów. Ale dowody są. Jak was nie było, zrobiłem zdjęcia. Masę zdjęć.

Seta wyciągnął z kieszeni film, pokazał go Konusowi pod stołem.

Konus zakrztusił się bimbrem, zacharczał, oczy wyszły mu z orbit. Seta uderzył go pięścią w plecy.

- Wyrzuć to! - jęknął Konus, odzyskując oddech.

- Po co? Słuchaj, to jest dowód. Trzeba pokazać prawdę. Ludzie nie wiedzą.

- Wyrzuć to, kurwa.

- To trzeba zanieść, pokazać...

- Komu?!

Seta pomyślał znowu o umierającej dziewczynie, o ubekach, ciężarówce z ciałami, o strzałach w nocy... To wszystko było takie popieprzone. Takie nie do ogarnięcia.

- Konus - powiedział cicho - tu na tym filmie jest prawda. Dowód na zbrodnie komunistów. Musimy tę prawdę chronić.

Szybko wstał od stołu. Potrącił przy tym szklankę i resztkę księżycówki wylała się na blat.

- Chodź, Konus, idziemy, pogadamy jeszcze.

Mały złodziej przetarł oczy, splunął i ruszył za Setą.

Tymczasem rozpadało się na dobre. Była już dziewiąta, a deszcz lał jak z cebra. Brzeska jeszcze spała. Seta i Konus skręcili w bramę, wyszli przez przechodni dom na małe, zaśmiecone podwórko. Znajdowali się teraz na dnie ogromnej studni nakrytej szarym dachem pochmurnego nieba. Weszli do następnej bramy. Zaraz za progiem stało trzech nieogolonych mężczyzn. Pili wódkę z butelki, zataczali się lekko. Gdy tylko usłyszeli Setę i Konusa, czujnie podnieśli głowy, ale od razu rozpoznali swoich. Jeden z nich gwizdnął, drugi pozdrowił Setę.

Szli dalej... Ponura, odrapana kamienica z czerwonej cegły cuchnęła stęchlizną. W bramie, w której ktoś wyłamał drzwi, leżał wielki śmierdzący paw, na schodach usłyszeli piski spłoszonych szczurów. Na drugim piętrze jakaś postać poruszyła się w głębi korytarza. Seta usłyszał skrzyp drewna i cichy łoskot. Cień poruszył się szybko, zbyt szybko. Do nozdrzy Sety doszła zgniła woń kanałów ściekowych. Tak cuchnął stary Maksio.

- Spokojnie, panie Maksiu, to ja, Seta.

Nieznajomy zamarł, więc Seta odetchnął z ulgą. Zawsze się bał, że stary, pierdolnięty Maksio z drewnianą nogą nie rozpozna go kiedyś w ciemności i wypruje mu flaki. Stary zbliżył się, uśmiechnął, szczerząc powybijane zęby.

- A, to wy, chłopaki - mruknął. - Już myślałem, że to ruscy.

Seta wiedział, co sowieci zrobili kiedyś z żoną Maksia. Dlatego nie dziwił się, czemu tamten przepada na całe noce, a pod połą płaszczą nosi całą blachę z patek zerwanych ruskim oficerom...

Wyminieli Maksia i wyszli na półpiętro. Seta zawahał się, czy nie kupić jeszcze jednej flaszki. Ale bał się kupować gołdę u starego legionisty, na parterze. Wiedział dobrze, że tamten trzymał metyl razem z wódką, a wzrok miał słaby.

Weszli do mieszkania Sety. Konus kopnął walającą się butelkę i rozległy się piski szczurów. Seta podszedł do okna. Skapaną w deszczu ulicą wolno przejechała milicyjna nyska.

- Nie wiem, co robić - mruknął Seta. - Ale nie możemy tego wyrzucić.

- Też się w tobie, kurwa, profesor odezwał. Wypieprz film w cholerę i zapomnij o wszystkim.

Seta rozebrał się i padł na rozgrzebane wyro. Dobra, wyrzuci i... wszystkoo będzie w porządku, tylko czemu czuje dziwny skurcz pod sercem? Nie myślał więcej. Okrył się starym, tramwajarskim kozuchem i odwrócił do ściany.

Konus przysiadł na łóżku. Myśli aż kipiały mu w cabanie. Bał się to przyznać. Nie cierpiał milicji, nienawidził uboli, ale czym innym był drobny zachwąt, wyczyszczenie kwadratu, a czym innym to, co zrobił Seta. On po prostu, kurwa, zadzierał z ubecją. A to mogło być niebezpieczne. Trzeba coś zrobić, bo inaczej wariat gotów był iść z filmem do solidarnościowców.

Konus wsłuchał się w równy oddech Sety i nagle przypomniał sobie, że przecież w kuchni ma dwie czyste rolki. Zawsze kiedy był na dyżurze, udawało mu się zwinąć z Odrzykońskiej parę sztuk. Pomyślał chwilę, uśmiechnął się. Po prostu nie chce kłopotów ani dla siebie, ani dla kolegi. A potem począł podkradać się do leżących na podłodze spodni Sety.

Kapitan Zieliński z pewnością nie był typowym ubekiem. Zresztą przez całe życie starał się odróżnić od reszty pracowników z II wydziału SB. Zawsze niezwykle zadbany i elegancki, uprzejmy i elokwentny, jednak wobec przesłuchiwanym starał się zgrywać twardziela. Bił mocniej niż inni, nie to jednak odróżniało go od pracowników II departamentu. W przeciwieństwie do prostodusznych stróży bezpieczeństwa i prawomyślności Zieliński wiedział, o co naprawdę chodziło w nowej rzeczywistości i jaka rola przypadła mu do odegrania. Był prawą ręką ruskich i nie czynił sobie żadnych złudzeń. Wiedział, że wejście sowietów w zimę 1982 roku, po buncie w polskim wojsku, nie było decyzją podjętą na Kremlu, lecz że to sam generał tak bał się solidarnościowej latarni, iż wymógł na Breżniewie, aby wspomógł go dywizjami. Zieliński znał Jaruzela jeszcze z czasów praskiej wiosny i pamiętał, ile telefonów do Moskwy wykonywał wtedy Wojtek w ciągu każdego dnia. No, ale i Zieliński wiedział, jak się ustawić. Dlatego częściej niż u bezpośredniego przełożonego bywał na popojkach u pułkownika Ałganowa, radzieckiego "doradcy" przy II wydziale SB. Zieliński rozumiał doskonale, jaka rola przypadła mu do odegrania w całym systemie, lecz nie czuł się źle. W końcu na jego miejsce mógł przyjść jeszcze gorszy. Kapitan znał dobrze historię, przynajmniej tę partyjną. Po czterdziestym piątym roku elity musiały skapitulować, bo ich polityka sprowadziła na Polskę zagładę. W końcu - wóz albo przewóz, nie mogąc lawirować pomiędzy ZSRR i Niemcami, trzeba było kogoś ucapić za nogi. Zieliński wierzył głęboko, że państwo ludowe uczepiło się właściwych nóg - ma się rozumieć, tych obutych w walonki.

Mysząc po trosze o tym wszystkim odwrócił się Zieliński do człowieka siedzącego naprzeciwko. Mały przykurcz o zaciętej twarzy recydywisty tkwił na krześle na wprost pana kapitana, pod portretem Karola Świerczewskiego. Zieliński zerknął w akta, choć nie musiał. Zaciągnął się niedbale papierosem.

- No więc, skąd miałeś ten film?

Mały złodziej uśmiechnął się chytrze.

- Już mówiłem, panie kapitanie. Ale mogę powiedzieć jeszcze raz. No więc zdjęcia zrobił Seta. Wtedy, jakżeście przywieźli te no... trupy. Znaczą się do nas, do kostnicy. To ja pomyślałem, że przecież nie wolno fotografować. No i kiedy dowiedziałem się, że Seta zrobił filmy, to zaraz je zabrałem i przyszedłem do pana. On tam jeszcze jest, na Brzeskiej 15, mieszkania...

Zieliński otworzył teczkę, spojrział na wywołane przed chwilą, jeszcze wilgotne odbitki.

Uśmiechnął się smutno.

- A ten trzeci jak się nazywał?

- Glaca, to znaczy Janusz Brzóska. On mieszka na Stalowej, pod numerem osiemnastym.

- W porządku. Wszystko git, jak wy mówicie. Tylko że ja ci nie wierzę - oświadczył Zieliński z rozbijającą szczerością. - Bo widzisz - nawet nie musiał zerkać w akta - moja wersja jest inna i brzmi tak: trzech meneli zamordowało ośmiu studentów, ograbiło ich, a ciała spaliło w krematorium. Wampiry z Odrzykońskiej to nawet ładnie brzmi. A dowody przeciw wam mamy.

- Jak to? - wybełkotał Konus. - Panie władzo, jak to?

- Ano tak, kurduplu. Masz tutaj, podpisz zeznanie. Może będziesz miał mniejszy wyrok.

- Jakie zeznanie. Jak pragnę zdrowia, panie kapitanie. Powiedziałem wszystko. To Seta, nie ja.

- Podpiszcie, podpiszcie. Będzie dla was lepiej.

- Ale ja niczego nie zeznawałem...

- Uparcuszek - mruknął cicho Zieliński. - A to nieładnie. Nazwisko! - huknął tak gwałtownie, że karzełek omal nie spadł z krzesła.

- Ko... Konus.

- Prawdziwe imię i nazwisko, a nie jak wołają cię w chlewie.

- Janusz Majewicz...

- No proszę. Karany?

- Tylko raz. Paragraf dwudziesty ósmy.

- No proszę. A teraz będzie KS, jak to wy mówicie. Wydziergasz sobie na ramieniu marszałka.

Kurdupel spocił się, Zieliński widział wyraźnie. Postanowił jeszcze pomęczyć go trochę, zanim zawoła sierżanta Zykę i każe brać się do pał. Po takie środki Zieliński sięgał w ostateczności, nie jak Piotrowski, Pękala i Chmielewski z IV departamentu MSW. Ci od razu ładowali klechów do worka.

- No powiedz, po co ich zabiliście - uśmiechnął się przyjaźnie. Wyciągnął w stronę małego paczkę z papierosami.

- Panie władzo, nikogo nie zabiliśmy... Przecież to wy przywieźliście te ciała. Ja powiedziałem wszystko. Seta robił zdjęcia, nie ja.

- Brzydko mówisz. Człowieku, zlituj się nad sobą. Do tej pory było ci u nas jak u mamy, ale teraz... Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłeś. Stary, dostaniesz czapę jak nic.

Konus zbladł. Zieliński uśmiechnął się z politowaniem.

- W tej okolicy, koło Filtrów, zginęło kilku ruskich. To też wasza sprawa. Wiemy, że od pięciu lat grasujecie na Ochocie. A ci Rosjanie... wiesz, co to znaczy?

Kurdupel pokręcił głową.

- To znaczy, że osądzi cię sąd wojenny Związku Radzieckiego. Pojedziesz na Łubiankę w worku na głowie, jak Wałęsa, Kuroń i Bujak. A ty wiesz, jak wygląda ruskie przesłuchanie?

Konus zadrżał. Zieliński uśmiechnął się szeroko.

- Nie mówię, że cię wyciągnę. Ale jeśli okażesz skruchę, zarobisz parę latek w Białolece albo w Rawiczu, a to przecież nie Syberia. Musisz tylko powiedzieć, kogo i kiedy zabiliście. No i wydać współników. A jak nie, cóż, sąd ci dopierdoli. Spalenie ciał... Trzech meneli-morderców w kostnicy... Wampiry z Odrzykońskiej... Pamiętasz, kurdupelu, jak było z Marchwickim?!

Konus dygotał, a Zieliński uśmiechał się. Gnój się łamie, wszystko na dobrej drodze.

- No to kto jeszcze był razem z tobą? - wysyczał.

- Ja powiem... Napiszę, panie władzo... Wszystko napiszę.

Zieliński podsunął kartkę i długopis. Podszedł do okna. Usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się, Konus podał mu zmięty papier. Zieliński podniósł go z tryumfem, rozwinął... Na środku kartki widniał czerwony, klujący w oczy napis: "Guwno, pierdolony ubeku". Nic więcej.

Zieliński sięgnął do przycisku na biurku, potem zmiął kartkę. Drzwi z lewej otworzyły się i wszedł sierżant Zyka i Micewicz. Ich czarne, oksydowane pałki kołysały się w takt kroków.

- Rozbieraj się - rzucił Zieliński do Konusa.

- Pomóc? - zarechotał Zyka.

Konus stał blady. Niezdarnie zdjął skórzaną kurtkę, potem koszulę. Ubocy zarechotali na widok jego krzywego, trzęsącego się garba, chudych żeber i powykęcanych kości. Zyka podstawił krzesło. Potem już z Micewiczem złapali rękę Konusa, posadzili złodzieja na krzesło, przewlekli łańcuszek przez poprzeczkę pod siedzeniem i jednym szybkim ruchem zatrzasnęli kajdanki na jego dłoniach. Zyka włożył rękawiczki, Micewicz też.

- Uważajcie, żadnych śladów.

- No już, kurwy, pierdolone chuje ubolskie - zaskomlał Konus. - No, katujcie, esesmańskie wyrodku.

Pierwszy cios odbił się echem po pokoju. Następny był już cichszy, stłumiony. Zyka szybko się zmachał, zastąpił go Micewicz. Ten tłukł mocniej i szybciej - był młodszy.

Konus rzeźił, na usta wystąpiła mu krwawa piana. Gryzł oparcie krzesła, gdy Zieliński schwycił go za włosy i poderwał głowę do góry.

- Ty mordowałeś ludzi?

- A cmoknij mnie w koniec kutasa - wymamrotał Konus. - Ty spasiona świnię, ty kurwo, ty esesmanie...

Zieliński zmarszczył brwi. Puścił włosy Konusa i skinął na Zykę. Usłużny sierżant podał lejek i małą gumową rurkę, a Micewicz wydobyl z szafki bańkę z terpentyną. Konus patrzył na to i mrugał oczami. Nie mógł przewidzieć, że wkrótce ten widok okaże się dlań najstraszniejszy na świecie. Tymczasem Micewicz poderwał mu głowę do góry, a Zyka włożył w usta rurkę zakończoną lejkiem... Zieliński włożył kastet.

Seta ledwo wszedł na ostatnie piętro swojej kamienicy przy Brzeskiej 15. Ostatnio nie miał sił. Może za dużo pił, ale teraz akurat zdarzało się sporo różnych okazji. Do wczoraj

zaprawiał razem z chłopakami od Ząbka. Mieli farta, trafili wystawną brykę, kupił ją za niezły szmal ruski z Odessy. Było za co pić.

Zdyszany pokonywał ostatnie stopnie. Musiał zerwać się z biby, czekała go robota na Odrzykońskiej, u trupów. Trochę przekima, a potem trzeba się będzie zwlec z wyra. Przeszedł przez korytarz, przestąpił rozlaną szeroko wodę ze wspólnej łazienki i stanął przed drzwiami mieszkania Konusa. Już miał położyć dłoń na klamce, ale nagle go tknęło. Kurwa, coś było nie tak, miał zawsze dziwne przeczucie, złodziejski fart. A Seta prawie zawsze miał farta. Coś się nie zgadzało. Za cicho. Kurwa, czyżby Konus spał? Seta przyłożył ucho do drzwi. Nic nie usłyszał, ten fakt, zamiast uspokoić, zaniepokoił go jeszcze bardziej. Rozejrzał się. Ciągłe cisza, więc może wejść, ale nie, wstrzymał się. Nigdzie nie było starego Maksia. A przecież ten stary wariat codziennie wystawał na klatce schodowej, wpatrując się przez okno w zmurszałe dachy domów przy Brzeskiej. To było dziwne. Bardzo dziwne.

Cicho i szybko Seta zbiegł na dół. Niczym duch przemknął przez podwórko, zaszył się w bramie, a potem wszedł ostrożnie po skrzypiących, drewnianych stopniach na trzecie piętro. Wyteżył wzrok. Całe podwórze miał teraz jak na dłoni. W mieszkaniu Konusa paliło się światło, a ponieważ od kiedy w delirce chlasnęła się nożem stara Ziuta, matka garbusa, nie było im w głowie wieszanie w oknach jakichś szmat. Widział więc wnętrze mieszkania. W środku dostrzegł cienie ludzkich postaci. Ktoś stał przy drzwiach, dwie inne sylwetki krzątały się po pokoju. Do diabła, co to mogło znaczyć?! Seta poczuł chłodny pot na czole. Kurwa, w mieszkaniu był milicyjny kocioł. Czyżby Konus go wsypał?! Ledwie to pomyślał, zaraz przypomniał sobie o filmie. Szybko wsunął rękę do kieszeni, ale kasetka była na swoim miejscu.

Wyteżył wzrok aż do bólu. Dostrzegł zamieszanie w mieszkaniu. Ktoś włókł kogoś ku wyjściu. Potem trzasnęły drzwi, na drugiej klatce schodowej załomotały kroki. Marcowy zmrok zapadał szybko, ale Seta dojrzał, jak przez podwórze idzie ku bramie grupa mężczyzn ubranych po cywilnemu. Prowadzili, a właściwie wlekli małego, ślaniającego się człowieczka. Seta zadrzał. Choć serce biło mu jak młot, ostrożnie zszedł w dół, przycupnął za barierką schodów, w miejscu, z którego mógł widzieć część mrocznego wnętrza bramy. Musieli tędy przechodzić. Zamarł w oczekiwaniu.

Było ich pięciu... Tego szóstego trudno byłoby nazwać człowiekiem. Potykał się, ledwie szedł, popychany mocnymi dłońmi ubeków. Nieoczekiwanie zatrzymał się i upadł na bruk. Mężczyźni poderwali go brutalnie, a wówczas Seta po garbie rozpoznał Konusa. Zbliżyli się, zamarł, widząc resztki twarzy kaleki, złamany, niemal oddarty nos, wybite oko, popalone usta. Konus dygotał. Gdy ubecy powlekli go w stronę bramy, Seta usłyszał skowyt. Ciche, żałosne skomlenie psa bitego przez zagniewanego pana... Seta stał jak zamurowany. Nie spodziewał się czegoś takiego... Widywał już katowanych ludzi, czuł na plecach milicyjne lole. Widział, jak bito do zdechu cweli i festów, jak w kiciu przecwelano ludzi, ale nie spodziewał się czegoś takiego. Seta zadrzał. Był wstrząśnięty, czuł się trochę tak, jak kiedyś, gdy był inny. Uczył się grzecznie w szkółce, chodził na uniwersytet, zanim nie nadeszła gołda i pierwszy w życiu kić.

Długo nie mógł złapać oddechu, pociemniało mu w oczach. Kurwy, co oni zrobili z chłopakiem! Psy pierdolone...

Wrócił myślami do tamtej nocy w trupiarni, kiedy milicja przywiozła trupy... Przypomniał sobie jasnowłosą, przypomniał jej krew... Zdjęcia, do diabła, zdjęcia. Miał je przy sobie. Coś musiał zrobić, ale co? Komu je oddać?

- Szukają cię - mruknął Kaczor. - Słyszałem w radiu.  
Odlewali się wspólnie na zasyfioną ścianę w bramie, tuż obok Kolorowej. Kaczor smarknął przez dwa palce.  
- Seta, mówili, że zamordowałaś kupę ludzi. Gadają o was... Wampiry z Odrzykońskiej. Tak samo jak kiedyś o Marchwickim. A Glacę zabrały psy. Konusa też. Zakatują ich teraz na dołku.  
- Nikogo nie zamordowałem. Kaczor, znasz mnie dobrze.  
- Wczoraj zrobili nalot na melinę Kokoszki. Nie jesteś bezpieczny na Brzeskiej.  
- Potrzebuję bryknąć gdzieś w Polskę.  
- Zobaczymy, co się da zrobić - Kaczor podciągnął rozporek. - Przyjdź tu za dwa dni.  
Seta wyszedł z bramy w chwilę po Kaczorze. Nie wiedział, co robić. Narastała w nim chęć, aby olać śmieszoną konspirację, olać trupy, zaszyć się na melinie, zrobić ze dwa skoki, oczyścić jakiś kwadrat, a potem położyć się brzuchem do góry i spijać goldę. Ale nie mógł tego zrobić. Szukali go. Walnął pięścią w mur, aż zabołało. Nie wiedział co dalej.  
Napłynęło wspomnienie tamtej nocy... Pamiętał śmierć tej dziewczyny, nawet nie wiedział, jak się nazywała... Mimo wszystko miał dla tej śmierci pewien szacunek. Przecież był człowiekiem, nie cwelem. Miał sznyty kapitana, a grypsował od dziecka...  
Nagle przypomniał sobie. Jak to szło... Anin, Zielna 7. To mogło być rozwiązanie...  
Wyszedł z bramy szybkim krokiem. Nie zauważył mężczyzny pod latarnią, który omiół go uważnym spojrzeniem, a potem wyciągnął z kieszeni komórkę i szepnął kilka słów.

Willa na Zielnej 7 w Aninie nie wyglądała jak kwatery główna Armii Wyzwolenia Polski lub siedziba Mazowieckiego Regionu Solidarności. Seta przyglądał się długo niewielkiemu, drewnianemu domkowi otoczonemu przez bezlistne topole. Oglądał mały ogródek, składzik na tyłach budynku i niski płotek okalający posesję. Ale nie widział nikogo, nie słyszał pracującego powielacza, a z drzwi na werandzie nie wychodzili kurierzy. Zupełnie nic, spokój i cisza.

Minął kwadrans, nim ruszył ku furtce. Nie była zamknięta. Nie niepokojony, Seta wszedł na werandę. Zadzwoił. Długo nikt nie odpowiadał. Wreszcie szczerknął zamek i drzwi uchyliły się nieco. W szparze dostrzegł młodą, ciemnowłosą dziewczynę. Spojrzała nań, nieco wystraszona. Seta uśmiechnął się niepewnie.

- Dzień dobry. Mam coś dla was.

- Dla nas to znaczy dla kogo?

- No, dla Solidarności.

- Co pan opowiada? - dziewczyna drżała, Seta czuł, że się go boi. Wcale się nie zdziwił. Jego poszczerbiona i potatuowana gęba nie budziła zaufania. - Tu nikt taki nie mieszka - jej głos lekko się załamał. Zatrzasnęła drzwi. Usłyszał jej oddalające się szybko kroki. Potem jakieś szepty. Zastukał znowu.

Tym razem czekał dłużej. Dziewczyna nie była już sama. Obok stał wysoki, szczupły mężczyzna. Seta ocenił go najwyżej na dwadzieścia parę lat. Nieznajomy spojrzał nieprzyjaźnie.

- Czego pan tu chce?

Seta przestąpił z nogi na nogę

- No dobra. Nie jestem ubeckim kapusiem. Wiem, co stało się z waszymi waflami z uniwerku... Sam wsadzałem sztywniaków do pieca. Ubęcy ich zamordowali, mam dowody. Mężczyzna drgnął. Spojrzał na dziewczynę, ale ona patrzyła na Setę przerażona.

- Mogę wejść?



Cofnęli się odruchowo. Seta wszedł do przedpokoju. Nie wpuścili go dalej, i tak przez uchylone drzwi do salonu zobaczył aż za wiele. Najpierw usłyszał stukot klawiatury. Potem dostrzegł młodziaka w okularach przy komputerze. Na szerokim stole stała potężna drukarka wypluwająca kolorowe plakaty. Na ścianie wisiało biało-czerwone godło AWP - kotwica, w głębi stały skrzynie.

Młodzieniec wbił w Setę przerażony, błędny wzrok.

- Do diabła, ty coś wiesz?!

- Ja jestem, kurwa, zwykły praski złodziej. A robię na Odrzykońskiej, w kostnicy.

Przedwczoraj w nocy ubecy przywieźli nam całą ciężarówkę zwłok. Tam były różne ciała... Jedna dziewczyna, taka długowłosa laska jeszcze żyła. Kazała... Kazała przekazać wam, że na Żeraniu jest wyspa techniki. Jakoś tak gadała.

- Krystyna! - krzyknęła dziewczyna. - Jezus Maria, Krystyna!

- Co, co z nią się stało?

- Przyszli, kurwa, ubecy... Zabili ją... Potem kazali spalić ciała.

Młody chwycił się za głowę, a dziewczyna zaszlochała rozdzierająco.

- Niech pan wejdzie - opamiętał się gospodarz, usunął się i wpuścił gościa do pokoju. Tutaj złodziej zobaczył jeszcze więcej. Najpierw dwóch młodziaków, tak na oko po szesnaście wiosen, którzy ładowali wydrukowane ulotki do kartonowych pudeł. Stary, zgarbiony dziadek z białym wąsem wyglądał przez okno. Seta rozglądał się ciekawie. Same gnoje - pomyślał. Gówniarze bawią się w konspirę...

- Krystyna nie żyje! - krzyknął mężczyzna, który otworzył drzwi Secie. - Zabili ich pod uniwersytetem, na demonstracji.

Natychmiast oderwali się od swoich zajęć. Jeden ze studenciaków, jak w myślach nazywał ich Seta, wypuścił z rąk paczkę z ulotkami. Tektura na spojeniu pękła, kolorowe plakietki wysypały się ze środka. Seta podniósł pierwszą z brzegu. Widniała na niej mapa Polski, podzielona na pół linią biegnącą wzdłuż Wisły. "IV rozbiór Polski" - przesyłabizował. "NRD domaga się podziału stref okupacyjnych w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej!"

Wszyscy skupili się wokół niego. Seta chciał splunąć, ale pohamował się.

- Gadałem już wszystko. Przedwczoraj rabotałem na nocnej zmianie w kostnicy przy Odrzykońskiej. Przykitrali do nas ubecy ze starem. Targali z osiem ciał. Wszystkie zabite w strzelaninie. Musieli gady na tej demonstracji ich kropnąć, na tej co była pod uniwerkiem. Ja jestem stary urke, nie peniajcie, że tak gadam.

- A niby dlaczego - zapytał ten wysoki - mamy ci wierzyć?

- Mam dowód - Seta wyciągnął film z kieszeni. - Zrobiłem zdjęcia. Obejrzyjcie sobie.

- Wiedziałem - mruknął jeden. - Korab mi mówił, że na uniwerku naprawdę była strzelanina. Kryśka musiała się tam zaplątać... Cholera jasna.

- Trzeba zawiadomić Karola.

Dziewczyna, jedyna w tym towarzystwie, szlochała cicho. Wszyscy pochylili głowy.

Dwa okna do pokoju rozpadły się z trzaskiem. Seta nie zdążył uczynić kroku, gdy do pomieszczenia wpadli mężczyźni w szarooliwkowych, łaciatych mundurach, z kałasami w dłoniach. Ale nie padł ani jeden strzał. Wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Wysoki mężczyzna, ten sam, który wpuścił Setę do domu, rzucił się jeszcze ku drzwiom do sąsiedniego pokoju; uderzony kolbą kałasnikowa w łeb, jęknął cicho i padł na posadzkę, a wokół jego głowy poczęła się tworzyć ciemna kałuża krwi.

Seta szybko znalazł się na podłodze, przetoczył się na wznak, przesunął rękę z filmem na plecy. I zanim wepchnięto mu lufę kałasnikowa pod gardło, z wysiłkiem wsunął film do odbytu. To był stary, więzienny sposób. Miał nadzieję, że i teraz zadziała. Pozwolił potem

bez oporu podnieść się z podłogi i zatrzasnąć na rękach kajdanki. Nawet znajome uczucie. Zarechotał, udając, że ma łaskotki.

- Co wam tak wesoło?!

Od wejścia szło dwóch cywili. Na kilometr śmierdziało od nich ubecją. Secie zrobiło się chłodno. Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy zasalutował i zameldował.

- Wsio haraszo, towariszcz komandir.

Pierwszy z cywili zlustrował uważnym spojrzeniem zatrzymanych. Spojrzał na komputery, na godło AWP na ścianie, na kotwicę, ulotki, uśmiechnął się krzywo.

- No proszę, co za wpadka - anińska komórka AWP. Co my tu mamy, laleczko? -

uśmiechnął się pogardliwie i zadarł głowę ciemnowłosej dziewczynie. Spojrzała z pogardą prosto w oczy ubeka, ale Seta wiedział, że drżała na całym ciele i ledwie powstrzymywała się od płaczu.

- Ulotki, nielegalny dostęp do Internetu, drukarnia. Nieźle.

- Mogło być lepiej - odezwał się drugi z cywili

- Myślałeś, że dostaniemy samego Karola? No, jeszcze trochę musisz popracować w tym fachu. Przeszukać dom!

Sowieci w panterkach rzucili się, by wykonać rozkaz. Zaszleściły wyrzucane z półek papiery. Ruscy wiedzieli, jak zabrać się do rewizji. Wytrząsali książki, zerwali ze ścian makaty. Jeden wspiął się na krzesło i gmerał przy żyrandolu. Niespodziewanie gwizdnął. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Oderwał szeroką listwę przy ścianie, odsłaniając przemyślny schowek i teraz wyrzucał zeń po kolei pistolety, magazynki, lufy i rozłożone części karabinów. Twarze jeńców zbieleły. Seta poczuł chłód w sercu.

- Próba zbrojnego zamachu na ustrój państwa ludowego - wybełkotał cywil. Nawet on był pod wrażeniem. Zdjął skórzaną czapkę i przesunął ręką po spotniałym czole. Spuścił wzrok.

- Zabrać ich!

Pomiędzy wyrzucanymi ze schowka częściami broni błysnęło coś małego, matowego. Stary, zgarbiony dziadek wysunął się szybko pomiędzy zatrzymanych i przypadł do stosu broni.

- Kuda ty?! - ręką jeden z ruskich i zdziesiął starca kolbą. Staruszek opadł z jękiem na podłogę, ale wcześniej chwycił brązowy krzyżek leżący między magazynkami. Jeden z cywili i jakiś ruski w panterce przypadli bliżej. Krasnoarmiejec chwycił zaciśniętą dłoń starego.

- Zostaw, ścierwo bolszewickie, zostaw - wychrypiał starzec. Z ust pociekła mu krew. - To od marszałka, jeszcze w dwudziestym roku...

Krzyknął z bólu, gdy rosyjski komandos uderzył kolbą w zaciśnięte palce. Staruszek zwinął się, płacząc, a wtedy poderwały go z podłogi mocne ręce żołnierzy. Z zaciśniętych, skrwawionych rąk wypadł mały, złoty krzyż Virturi Militari, potoczył się po dywanie między rozrzucone spluwy i magazynki.

- Nie bijcie, kurwy, starego! - ryknął Seta. - Wy esesmańskie wyrodki. Pizdy lesbijskie! Najbliższy z żołnierzy uderzył go w twarz. Seta padł na kolana, splunął krwią. Z drugiej strony ruski poprawił kopniakiem w nerki, potem wspólnie z drugim komandosem poderwali jęczącego Setę z podłogi, popchnęli ku drzwiom.

Szybko i sprawnie zagnali ich do suki. Ale Seta i młodziak w okularach nie załapali się do środka. Ruscy wepchnęli ich do milicyjnego gazika. Młodziak płakał cicho, łzy spływały mu spod okularów.

- Nie becz - mruknął Seta. - Trzymaj się na komendzie i nie wsyp kumpli. Jak będą bili, wystaw głowę pod lolę. Albo zapierdol łapą w szybę i koniec - powiozą do szpitala.  
- Zamknij się, bandyto - syknął jeden z tajniaków. - Już ja, kurwa, zrobię z tobą porządek.  
- Nie gadaj - odezwał się z tyłu drugi. - To dzięki niemu tutaj doszliśmy. Jak po nitce.  
Seta zamarł.

- Tak, tak, śledziliśmy cię od Brzeskiej. Opłaciło się - zarechotał ubek.  
Ruszyli. Seta milczał, ale wszystko kłębiło mu się w głowie, myśli jak szalone, bez sensu, bez związku. Przypomniawszy sobie wszystko, co spotkało go w ciągu ostatnich dni. Najpierw ciała w kostnicy, potem to, co zrobiono z Konusem, a teraz...

Jechali szybko przez Warszawę. Wjechali w Płowiecką, potem w Grochowską. Wcześniej milicyjna nyska przed nimi skręciła w lewo, w Ostrobramską. Seta domyślił się, że pewnie pogrzała wprost na Rakowiecką albo do Mostowskich, do Komendy Głównej. Dokąd jednak zabierali jego? Może na Białołękę. Ale było mu już wszystko jedno. Seta czuł tylko, że jest mu coraz bardziej zimno... Pamiętał, takie uczucie ogarniało go zawsze w więzieniu, gdy zaprawiał kotwicę na ostro albo ciął sobie żyły... To samo, co wtedy... Teraz nie był już sobą, wiedział, że gdyby tylko chciał, mógłby krajać się na kawałki.

Gazik skręcił w Targową, przejechał pod mostem kolejowym. A wówczas Seta poczuł, że chwila, a oszaleje i że robi mu się nagłe gorąco.

- Ty pierdolony ubeku! - wysyczał do siedzącego obok mężczyzny. A potem błyskawicznie złapał go za gardło i ścisnął. Ubek zakrzuszył się, zacharczał. Ktoś krzyknął, samochód zahamował, siedzący z tyłu ubek wyciągnął pistolet, ale nie mógł rozeznaczyć się w kotłowanie ciał. Chciał strzelić, nie wiedział w kogo.

- Hamuj! - wrzasnął do kierowcy.

Seta pochylił się jeszcze bardziej. Ubek szarpnął się, rzucił w tył, a wówczas drzwiczki gazika otworzyły się. Wypadli na zewnątrz, potoczyli się po mokrym asfalcie. Seta usłyszał obok świst kuli. Poderwał się i rzucił się przez skrzyżowanie w stronę rogu Brzeskiej i Kijowskiej.

Łazik zatrzymał się z piskiem opon. Zieliński wyskoczył z drugiej strony, łapiąc za służbową tetkę. Zapadł zmierzch, w strugach deszczu ledwie widział uciekającego Setę. Strzelił, raz, drugi, trzeci. Wszystkie kule chybiły.

- Micewicz! - ryknął w stronę gramolącego się na kolana porucznika. Obejrzał się na dwóch komandosów ze specnazu Ałganowa.

- Za mną!

Na Brzeskiej panował zmrok, było pusto i cicho, nie świeciły porozbijane latarnie. Zieliński spojrzał na stare rudery z czerwonej cegły po obu stronach jezdni, na ciemne, ślepiące nań ze wszystkich stron okna. Poczł dreszcz i splunął z obrzydzeniem. Musiał dostać Setę. Tylko gdzie wsiąkł ten złodziej? Pewnie wskoczył do bramy. Ale do której? Zieliński skinął na Micewicza, gestem pokazał mu drugą stronę ulicy i mającą w szarówce bramę. Porucznik i towarzyszący mu komandos szybko skoczyli na drugą stronę Brzeskiej, roztopili się w mroku. Zieliński wbiegł do pierwszej z bram. Tuż za nim wsunął się drugi z ruskich, z odbezpieczonym kałasznikowem. Zieliński znów zadrżał mimowolnie. Wiedział, że nie powinien pakować się w te ulice, zwłaszcza mając ze sobą tylko jednego człowieka. A jednak pędził coraz dalej.

Szybko przeszli przez ponure, zaśmiecone podwórko. Gdy Zieliński zerknął w górę, ponad poszczerbionymi dachami kamienic dostrzegł czarne niebo, jak gdyby biegł po dnie ogromnej, ponurej studni. Usłyszał gdzieś z boku tupot kroków i rzucił się w tamtym

kierunku, chwytając oburącz tetetkę. Wyminął wrak rozbitej syrenki, wpadł w wąskie przejście wyrąbane w murze. Pędził dalej. Z przodu usłyszał brzęk szkła, zupełnie jak gdyby ktoś biegnący przed nim (zapewne uciekinier) potracił pustą butelkę. Zieliński był już pewien. Miał go!

Pędził co tchu. Z wąskiego przejścia pomiędzy dwoma rozpadającymi się domami wypadł na następne podwórko. Z jednej strony był mur nieczynnej fabryki, stare, zniszczone zabudowania straszyły czarnymi otworami po wybitych oknach. Z drugiej widniała sterta węgla. Zieliński usłyszał skrzyp i trzask - w wejściu do klatki schodowej chwiały się wypaczone drzwi.

Zieliński i towarzyszący mu ruski wbiegli do środka. We wnętrzu, ledwie widocznym, brudnym i śmierdzącym szczynami, kapitan dostrzegł od razu pnące się stromo w górę schody. Usłyszał jeszcze echo dalekiego tupotu stóp, więc pomknął jak zając w górę po trzeszczących stopniach. Komandos popędził za nim.

Ten dom miał tylko dwa piętra. Na drugim Zieliński dostrzegł długi korytarz, zakończony wybitym przejściem do drugiego budynku. Nie czekając na ruskiego, puścił się pędem w stronę przejścia. I zaraz omal nie upadł; cuchnęło tu wprost potwornie. Z prawej strony mijał okrągłe, zbutwiałe okienka wychodzące na podwórze, z lewej drzwi do mieszkań, a co jakiś czas wspólne łazienki - ponure, mroczne czeluście jaśniejące bielą rozbitych kafelków, przesycone pluskiem wody wypływającej z potrzaskanych rur. Z jednej z takich nor wytoczył się nagle jakiś gruby człowiek. Zieliński omal nie wrzasnął, widząc jego oblicze. Lewa połowa twarzy tamtego była nienaturalnie spuchnięta, dwa razy większa od prawej. Spomiędzy popękanych warg wystawały rzadkie zęby. Nieznajomy chciał przegrodzić wąskie przejście, ale Zieliński skierował w jego stronę lufę pistoletu, a wówczas tamten cofnął, się zaskoczony.

Mężczyźni popędzili dalej. Ruski omal nie wyłożył się w wilgotnej kałuży rzygowin. Zieliński skoczył na wąskie schodki prowadzące w dół. Strącił z nich kopniakiem jakiegoś pijaka, który lał w górę na czworakach. Potem zbiegł na dół. Przystanął, widząc, że jest na następnym, ciemnym i mrocznym podwórzu. Rozejrzał się dokoła. Zewsząd otaczały go stare, gnijące domy, ceglane ściany, sterty śmieci, wraki samochodów, kopertowe dachy przedpotopowych kamienic, odór ścieków, mdła woń rzygowin i rozlanego alkoholu. Brzeska była wszędzie, nawet we włosach czuł lepki odór zgnilizny. Ale wciąż słyszał kroki uciekającego Sety, więc popędził dalej, w głąb wilgotnego, lepkiego labiryntu ze starych murów, deszczu i mgły. Wpadł do kolejnego ciemnego wnętrza, potem do korytarza, do przejścia między domami. Przeskoczył wilgotny mur i znalazł się na małym podwórzu. Rozejrzał się zdezorientowany, ale niczego nie dostrzegł. Zdenerwowany rozglądał się dokoła, podszedł wolno do rozwalonego śmietnika. I wtedy właśnie poczuł dziwny, mdły i słodkawy zapach ścieków. Rozejrzał się, nieopodal, o kilka kroków od niego znajdował się otwarty właz do kanału. W słabym świetle Zieliński wyraźnie widział unoszące się nad nim wilgotne opary. Pochylił się i wtedy poczuł lęk. Aż zadygotał, pierwszy raz w życiu bał się tak strasznie, tak szaleńczo. Uniósł dłoń z pistoletem, a wówczas cień przemknął za jego plecami. Coś drewnianego, ciężkiego, uderzyło w głowę kapitana. A potem była cisza, ciemność i deszcz.

Igor Zamordcew wpadł na podwórko chwilę później. Rozejrzał się po mrocznych domach i zamarł, bo nigdzie nie widział komandira. Chciał zawołać, ale wstrzymał się; zdał sobie sprawę, w jakiej części Warszawy się znajduje. To tutaj znajdowano ciała zabitych sowieckich żołnierzy. Tutaj bardzo niebezpiecznie było zapuszczać się samemu. Igor

spojrzał dokoła, zatrzymał wzrok na zamkniętej klapie do kanału ściekowego, zajrzał do śmietnika, do najbliższej klatki schodowej, ale po kapitanie nie było ani śladu. Nagle wyczuł słuch, bo gdzieś obok, w bramie usłyszał warkot motoru. Szybko skoczył w tamtą stronę. Wpadł z ciemnego przejścia na jeszcze mroczniejsze podwórko i zobaczył starą nyskę podjeżdżającą tyłem do klatki schodowej. Przy samochodzie stało dwóch mężczyzn - jeden brodaty, w ciemnym płaszczu i czarnych włosach wymykających się spod płaskiej czapki, drugi mniejszy, w skórze, jasnowłosey. Igor spojrział na nich, coś mu się nie zgadzało. Przecież była godzina milicyjna. Ci dwaj powinni siedzieć w domu.

- Ech, wy skatiny! - Zamordcew przypadł do tamtych. - Ruki wwiorch!- wykrzyknął, mierząc z kałasza do jasnowłosego.

Tamci dwaj spojrzeli na niego zdziwieni. A później wszystko stało się tak szybko, że Igor nie zdołał nawet zgąć palca na spuście. Długowłosey rozchylił poły płaszcza. Zamordcew zobaczył wymierzone w siebie dwa czarne oczka luf obrzyna. Potem stało się coś dziwnego. Wilgotny bruk dotknął jego pleców. Uniósł głowę i ze zdziwieniem zobaczył, że wirują wokół niego czarne i czerwone plamy. Tamci dwaj podeszli bliżej; powoli zbliżył się i trzeci - długowłosey, pyzaty, w czarnym płaszczu. Zaciągnął się schowanym w garści papierosem.

- To ruski!

- Dokończ go, Kaczor.

- Lepiej nie. Słuchaj Szary, mam lepszy pomysł.

Igor poczuł, że ciągną go w stronę bramy. Zostawiał za sobą smugę krwi. Gdzieś w głębi jego brzucha narastał ból. Był tak straszny, że chciało mu się wyc... Ale nadal nic nie rozumiał.

Zrozumiał, gdy zawarczał silnik furgonetki. Leżał na lewym policzku i chciał krzyczeć, gdy zobaczył zbliżającą się oponę nyski. Ale nie miał sił wrzeszczeć. Wypłuł tylko nieco krwi i zabelkotał niezrozumiale, rozpaczliwie.

Delikatny, słodkawy odór kanału ściekowego zbudził Zielińskiego z omdlenia. Kapitan nie wiedział, gdzie jest. Poruszył rękoma, a wówczas poczuł, że są związane na plecach grubym, wrzynającym się w ciało drutem. Palce miał zupełnie zdrętwiałe. Usta, język i gardło były opuchnięte, na skroniach tętna waliły z taką siłą, jakby za chwilę miały rozwalić mu czaszkę. Nie od razu zorientował się, że wisi, powieszony za nogi w dużym kanale. Usłyszał plusk płynącej dołem wody, owionęły go wiotkie, wilgotne opary. Wówczas wiedział już, że w kanale ściekowym. Zobaczył śliskie od osadu, pokryte zielonymi plamami ściany.

Z boku było małe źródło światła - być może jakaś ostatnia, zapomniana żarówka w tej części Warszawy. Kapitan zauważył w jej świetle kilka ruszających się plam. Szczury - pomyślał z obrzydzeniem. Zakrztusił się własną śliną, o mało nie zwymiotował. Wisiał, dysząc ciężko. Nie wiedział, kto go tak załatwił. Może była to zgrywa meneli z tej dzielnicy. Pozostawało czekać. Zieliński wierzył, że rozpoczęto już poszukiwania, że lada chwila w kanale pojawią się jego chłopcy z SB.

Spróbował uwolnić się z więzów, ale drut był tak ściśnięty, że przy najmniejszym ruchu dłoni mocniej wrzynał się w ciało. Przy tych wysiłkach rozbijał linę, którą obwiązane były jego nogi, obrócił się w bok. I wówczas jego wzrok padł na jakiś ciemny kształt kołyszący się tak jak on na linie, tuż obok. Zieliński zamrugał załzawionymi oczyma. Kształt obok niego miał jakby ludzką twarz. Kapitan wyraźnie widział dwie czarne jamy w miejscu wyłupionych oczu i szeroko rozwarte usta, okolone strupami zakrzepłej krwi. Kształt wisiał

nieruchomo. Zieliński wpatrywał się weń rozszerzonymi przerażeniem oczyma. Widział rozdartą klatkę piersiową tamtego, czuł coraz silniejszy zapach zgnilizny, mieszający się z odorem ścieków, widział ślad po obciętym języku, wydarty nos, wywleczone trzewia. Trup przyodziany był w brudny, wilgotny mundur żołnierza Armii Czerwonej...

Zieliński nie mógł nic uczynić. Chciał krzyknąć, ale obrzmiały język stawał mu kołkiem w ustach. Pozostawało wisieć, kołysać się i czekać, aż go znajdą.

Z tyłu poruszył się jakiś kształt. Zieliński widział zamglony, niewyraźny cień. Zbliżający się nieubłagane. Zobaczył wyciągniętą w swoją stronę rękę z czymś kolistym zakończonym, z cieniem sierpa, ale nie był to sierp z flagi ZSRR. Ciemny kształt, przesycony zgniłym zapachem ścieków, drgający od biegających po nim szczurów zbliżał się szybko. Zieliński wiedział, że ma mało czasu. Wszystko, co przeżył, całe życie przemknęło kapitanowi przed oczyma. Teraz już nie liczyła się partia ani praca, ani korzystna pozycja w układzie między sowietami i polaczkami. Zieliński przypomniał sobie, jak w rodzinnych stronach widział ojca w jarmulce odmawiającego modlitwy w kieleckiej bożnicy... Przyszły znów doń święte, a zapomniane hebrajskie słowa, ale nie zdążył ich wyszeptać.

Przerażający, zwierzęcy skowyt wstrząsnął ścianami kanału ściekowego.

Pięć metrów ponad wrzeszczącym Zielińskim ulicą Brzeską przejechał wolno sowiecki BTR. Kierowca i załoga może nawet usłyszeliby krzyki kapitana, jednak o dwie przecznice wcześniej kupili na mecie wódkę u starego legionisty i teraz przede wszystkim pociągali z flaszek. O tym, że kupili metyl, przekonali się kilka godzin później.

- Mówię, że to się będzie opłacać.

- No, no, zobaczymy jeszcze - wychrypiał Gumiś. - Mam nadzieję, że gadasz prawdę. Wydaliliśmy kupę szmalu, żeby chować ciebie na melinie. I na wódkę.

- Spoko, spoko, przerzucie mnie tylko na Zachód, zobaczycie. Zaraz dam to jakiejś agencji prasowej. Dostaniemy kupę forsy.

- Mam nadzieję - dorzucił Kosmek z drugiego krańca stołu.

Drzwi od ciemni otwały się ze skrzypem. Stary Nocuj zmrużył nienawykłe do światła oczy, wbił spojrzenie w Setę.

- Ty, kurwa, na tej kliszy nic nie ma.

Seta poderwał się z krzesła.

- Co takiego? Jak to?

- Czegoś, kurwa, bajerował, że tam są dowody na ubeków. Czegoś, kurwa, kazał się przerzucać do Berlina. Poszło na to dwa tysiące zielonych. Popatrzcie - rzucił na stół czarny wąż kliszy. Wszyscy pochyłili się nad nim. Seta zamarł. Film był jakby prześwietlony.

- Ty, co to ma być? - zapytał Gumiś.

- Wstawiałeś nam, Seta, zwykły bajer. Mówiłeś, że film jest warty kilkaset kawałków. A teraz co?

- Tyle kasy od nas wyciągnąłeś!

- Ty cwelu pierdolony!

- To niemożliwe, prześwietliliście taśmę!

Kurka strzelił Setę krótką pirydą w szczękę. Seta uchylił się, jak błyskawica kopnął Kosmka w krocze. Ten skręcił się z jękiem. Stół potrącony przez Gumisia przechylił się, zwałił z trzaskiem. Wszyscy trzej rzucili się na Setę. Osaczony - strzelił Gumisia w twarz, ale w tej samej chwili Nocuj przyłożył mu przez łeb łomem. Seta zamarł. A potem bardzo

powoli osunął się na posadzkę. Kosmek skoczył do niego, kopnął w głowę raz, drugi. Aż zawył z wściekłości, a potem wskoczył na Setę, uderzył obcasami. Gumiś poprawił z drugiej strony dwoma kopami. Zatrzymali się nad ciałem Sety, drżący i spoceni.

- Tyle kasy - jęknął Nocuj. - Tyle kasy poszło!

- Zabrać go - warknął Kosmek.

Bez słowa powlekli bezwładne ciało Sety ku drzwiom.

Jacek L. Komuda

#### JACEK LECH KOMUDA

Rocznik 1972. Warszawiak. Absolwent historii UW, pracuje nad doktoratem o Kozaczyźnie Zaporoskiej. Miłośnik sarmatyzmu, prozaik (autor wydanych niedawno w Alfie "Opowieści z Dzikich Pól" i współautor polskiego systemu gier fabularnych dziejących się też w tym regionie). Znany z publikacji w "Magii i Mieczu", "Fenixie", "Złotym Smoku"; to jednak u nas debiutował "Czarną Cytadelą" ("NF" 5/91) i do nas wrócił znakomitym opowiadaniem "rozbiorowym" "Trzech do podziału" ("NF" 6/96) oraz starofrancuskim "Tak daleko do nieba" ("NF" 6/97, nominacja do Zajdla).

Przedstawiane obecnie "Wampiry z Odrzykońskiej", tekst mało świąteczny w tonie, nawiązują w fantastycznej formie do tragicznych wydarzeń sprzed 18 lat. Stan wojenny i jego duchowe oraz cywilizacyjne konsekwencje, sytuacje alternatywne i inne przebiegi zdarzeń przed i po ponurej nocy 13 grudnia 1981 r., pasjonują autorów różnych orientacji. Takich jak Janusz Rolicki ("Krfotok), Marek Oramus ("Święto śmiechu") czy młodziaków w rodzaju Adama Skorba ("Kropiółka") oraz Jacka Komudy. Jednym zwróciły komfort spokoju, drugim zniszczyły marzenie o wolności, trzecim zabrały - "Teleranek" i czekoladę. Szczęśliwie Jacek nie poprzestał na "Teleranku" - zaprzął do pracy wiedzę historyka i czarną dramatyczną wyobraźnię, której dowody dał już w "Tak daleko do nieba". W "Wampirach..." mroczne niebo jest bardzo chyba odległe od wdeptanych w ziemię bohaterów i ich zdegenerowanego świata niż w czasach Villona.

(mp)